

Inna polityka

Andrzej Smosarski

Trzy dekady działań neoanarchizmu w Polsce nie zaowocowały żadną istotniejszą dyskusją na temat metod działania. Nie było na to szans, dopóki w ruchu dominowali fanatycy lektur filozoficznych i walk ulicznych, a ultraliberałowie i quasi-komuniści ukryci pod jednym szyldem ciągnęli wózek polityki w przeciwnie strony. Może warto jednak uczynić to teraz, gdy anarchizm po latach tkwienia w kontrkulturowym spektaklu czystej formy wreszcie zaczyna przeradzać się w ruch polityczny.

Anarchizm, jedna z sześciu najważniejszych idei politycznych nowożytnych czasów, od ponad wieku ma na całym świecie znaczenie marginalne, ograniczające się do przekazywania własnych treści opinii publicznej oraz prób modyfikowania polityki tworzonej przez dominujące nurty: liberalny (często skryty pod nazwą socjaldemokracji) i konserwatywny. Mimo rewolucyjnej tradycji i frazeologii, anarchiści de facto są w stanie wykonywać działania albo defensywne (obrona aktywistów, związkowców), albo symbolicznie podważające system (niewielkie demonstracje, happeningi).

Dyskurs teoretyczny ogranicza się do przyswajania historii i – w mniejszej skali – filozoficznych dzieł klasyków myśli anarchistycznej, pisanych w okresie największego rozkwitu ruchu, a zainteresowania praktyczne – jak na całej lewicy radykalnej – ogniskują się wokół debaty o formach samoorganizacji społecznej i sprawiedliwego określenia stosunków pracy. Przejęcie zakładów pracy przez pracowników, bezkompromisowy syndykalizm, tworzenie spółdzielni czy tzw. kolektywów, to oczywiste postulaty nieprzetwarzane jednak zazwyczaj na realne projekty, albo z racji braku energii obywatelskiej, albo z powodu dotkliwych, acz niekoniecznie drastycznych represji systemu.

W świadomości ogólnej nie istniejemy w ogóle, albo istniejemy nader symbolicznie, jako środowisko zdezorientowanych społecznie dużych dzieci, które naiwny idealizm albo ogólna niedojrzałość społeczna skłoniła do inwestycji duchowej w coś, co z zasady spełnić się nie może. Jedynym budzącym zainteresowanie środowisk opiniotwórczych elementem działań naszego ruchu są akty symbolicznej przemocy dokonywane w czasie rzadkich zamieszek ulicznych, tolerowane do pewnego stopnia przez system, jako nieniosące za sobą żadnych konsekwencji politycznych i ułatwiające prezentowanie nas jako wrogiego społeczeństwu elementu kryminalnego.

Nie jesteśmy idealni

Jak każdy ruch polityczny o marginalnym znaczeniu dla kreacji teraźniejszości, anarchizm ma niebezpieczną tendencję do uzupełniania własnej energii, pobierając ją ze źródeł zewnętrznych, w których najczęściej istnieje podobny jej niedostatek, albo gdzie z zasady ma być ona wykorzystana co najwyżej dla kosmetyki systemu. Z tego powodu anarchiści usiłują często zupełnie bezsensownie odnaleźć własną pieśń o wolności we wszelkich ruchach społecznych przyjmujących postać buntu – nawet efemerycznego albo stanowiącego część walki między grupami przedsiębiorców – bądź opierających się na całkowicie wewnątrzsystemowej kontestacji aktualnego stanu rzeczy w życiu politycznym, ekologii, planowaniu przestrzennym. Stąd ich obecność w ruchach samoobrony drobnego biznesu (np. handlarzy bazarowych), tzw. protestach własnego podwórka (np. przeciw budowie nowej linii komunikacyjnej) czy rozmaitych przybocznych gwardiach (np. tzw. młodzieżówkach) oficjalnej lewicy. Nie jest ona często konstruowana na zasadzie świadomego partnerstwa

artykułujących swoją tożsamość podmiotów czy pobudzania aktywności grupy interesu szczególnie dyskryminowanej przez system (jak ma to miejsce w Polsce w stosunku do lokatorów), ale jako zasłona dla czerpania energii z aktualnych protestów społecznych, bądź – w stosunku do podmiotów politycznych – wykorzystania infrastruktury i oderwania tzw. lewego skrzydła. Skutki bywają często oplakane – nieodwzajemniona miłość lub cwaniactwo zmieniają się w nienawiść (patrz stosunek stołecznych działaczy do Piotra Ikonowicza), gdy wychodzi na jaw, że rzekomi sojusznicy ideowi nie istnieją, albo wcale tak bardzo ideowi nie są. Na poziomie globalnym, owa potrzeba odnalezienia anarchizmu wszędzie gdzie się da, skutkuje przedstawianiem jako anarchisty każdej znanej postaci, której wymknie się na ten temat choćby słowo, nawet jeśli wyraża ona w gruncie rzeczy jedynie krytykę systemu (Noam Chomsky) czy po prostu jest wolnomyślicielskim twórcą kultury (Kurt Vonnegut). Jest ona także fetyszizowaniem raczej mało produktywnego ruchu alterglobalistycznego, który skupił w sobie więcej nurtów społecznych niż utworzył konkretnych projektów zmiany stanu rzeczy i którego głównym osiągnięciem było realizowanie efektownych spektakli przemocy oraz spędów ludu miast i wsi w ramach tzw. forów społecznych. Było przy tym wiele hałasu, marnowania ludzkiej aktywności i radosnego podniecenia, tyle że inny świat jak dotąd nie stał się możliwy, a Carla Giuliani już wśród nas nie ma (ale kogo to dziś obchodzi?).

Patrząc już bardziej na krajowe podwórko, inne pomysły na zastępowanie własnej niemocy energią z zewnątrz należy uznać za jeszcze bardziej dziwaczne. Wielu wyznawców wolnościowej idei, a nawet kreatorów konkretnych zdarzeń, żywi nieustającą nadzieję na to, że w dotarciu ze swoimi propozycjami – jeżeli takowe istnieją – pomogą im firmy kontrolowane przez kapitał prywatny albo mainstreamowe partie polityczne, które w obecnym systemie obdarzono rolą imitowania opinii publicznej. Owo założenie, że przedstawiciele Agory, ITI czy Axela Springera rozkręcili swoje interesy po to, aby popierać ludzi żądających od nich poddania się większej kontroli społecznej, wyższej partycypacji w daninie publicznej czy rezygnacji z oligarchicznej struktury mediów, to już prawdziwa dziecinada. Oczywiście, liberalne media w rodzaju "Gazety Wyborczej" mogą odgrywać pozytywną rolę w kreowaniu opinii dotyczących niektórych zagadnień, takich jak np. problem antysemityzmu, ale będzie to zawsze tylko "kwiatek do kożucha" i to w formie gęgania inteligencji, bez przełożenia na konkretne działania. Nawet w tych poprawnych tematach aktywność "wykształciuchów" jest pozorna – trudno między swoimi posadami, profesurami, konferencjami wykreować jakiś konkret, za to chętnie nadają patronat cudzej pracy (za cenę jej kontroli), co można traktować jedynie jako cwaniactwo. Istota obecnej "demokracji" polega zaś właśnie na dyskretnym sterowaniu opinią publiczną, systemem prawnym i – nade wszystko – środkami finansowymi w ten sposób, aby aktywność ludzką ściągać z pól szczególnie szkodliwych dla systemu i przelewać ją tam, gdzie nie stanowi ona zagrożenia (co zresztą nie znaczy, że jest zupełnie nieużyteczna).

Fakt, że obecny porządek polityczny pozwala swobodnie kontestować upiory nacjonalizmu czy konserwatywną obyczajowość, świadczyć może zresztą tylko o tym, że obecnie te obszary sporu politycznego nie są kluczowe. W sferach o strategicznym dla kapitalizmu znaczeniu, takich jak stosunki własności i pracy czy funkcjonowanie aparatu legalnej

przemocy, o żadnej tolerancji dla kontestatorów mowy być nie może – i dlatego wszystkie najważniejsze ”lewicowe”, liberalne czy konserwatywne media uparcie przekazują nam ten sam obrobiony ideologicznie przekaz w sprawach takich jak np. interwencje zbrojne (”misje stabilizacyjne w ramach wojny z terroryzmem”), eksmisje z lokali mieszkalnych (”usuwanie uciążliwych lokatorów”) czy akcje związkowe (”protesty związkowców, usiłujących wymusić nowe przywileje”). Rzecz jasna, w wielobarwnej i pełnej dynamiki przestrzeni społecznej reguł stuprocentowych nie ma i może się zdarzyć, że z powodu walki na górze media zapalają chwilowo nieoczekiwaną miłością do pielęgniarek czy uczniów – jak to się stało za rządów Prawa i Sprawiedliwości – aby jedna koteria partyjna mogła ich użyć jako karty przetargowej w walce z inną. Przykład krótkotrwałej sławy Inicjatywy Uczniowskiej świadczy jednak o efemeryczności tego rodzaju uczuć.

Z poczucia własnej niemocy i szukania oparcia na zewnątrz nie wynika jednak tylko skłonność do pokładania wiary w tym, że pomocne staną się siły obecnego systemu – np. kapitalistyczne przedsiębiorstwa medialne. Anarchizm produkuje również szereg związanych z własnym istnieniem fetyszy pomagających przetrwać trudną codzienność, a w szczególności pokonać bolesne, dla każdego człowieka pragnącego działać w przestrzeni społecznej, uczucie wyobcowania z ogółu, które musi towarzyszyć reprezentantom mało znanego pod względem ideologicznym i słabego w praktyce politycznego ruchu. Wśród nich z pewnością wymienić warto fetysze masy, historii, przemocy i globalności, zakorzenione szczególnie mocno w świadomości zbiorowej jego członków. Pierwsze dwa z nich mają nam pozwolić poczuć się częścią wielkiej zbiorowości w ujęciu terytorialnym i historycznym, aby w ten sposób zlikwidować nieprzyjemne uczucie samotności w społeczeństwie, które na ogół nie zdradza oznak zainteresowania działalnością aktywistów. Ludzie pozbawieni świadomości własnej siły zazwyczaj szukają oparcia w masie, tej jednak realnie brak i nie zostaje nic innego jak stworzyć ją sobie za pomocą własnej wyobraźni, w przestrzeni niepozwalającej na weryfikację rzeczywistości. Stąd cała mitologia ”światowego” alterglobalizmu czy antykapitalizmu (w tworzeniu której osiągnęliśmy perfekcję) i dawnego wielkiego ruchu robotniczego (w czym przewyższają nas komuniści).

W rzeczywistości żadnych wielkich ”brył” z etykietkami ”ruch robotniczy”, ”ruch alterglobalistyczny” nigdy nie było – istniały i istnieją co najwyżej stosunkowo nieliczne grupy działaczy, powiązane sieciowo lub hierarchicznie oraz wymieniające się ze sobą częściej otuchą i informacją niż konkretną współpracą. Fakt, że w szczególnych momentach potrafiły one mobilizować znaczące grupy ludzi do krótkotrwałych działań mających niekiedy przełomowe znaczenie, nie oznacza jeszcze, że miało miejsce wyjście poza rolę zawartą w pojęciu awangardy. Na podobnym nieporozumieniu bazuje też fetysz przemocy – obsesja na tym punkcie pozwala zakryć zawstydzającą słabość ruchu, i to zarówno w zakresie jego rzeczywistych możliwości projektowania i wywoływania gwałtownych zmian, jak i codziennej pracy politycznej (tworzenie konkretnych kampanii, projektów, publikacji). Fajerwerki spektakli przemocy w postaci widowiskowych starć z policją czy niszczenia budynków korporacyjnych, zaprojektowane szczegółowo stroje walki i akcesoria w postaci masek przeciwgazowych, mają wlać w serca i mózgi aktywistów przekonanie, że oto ruch znajduje się w fazie dynamicznego starcia z systemem, niemal o krok od zwycięskiego koń-

ca kapitalizmu. W obliczu tej pozornej wojny światów umyka gdzieś oczywista refleksja, że system jest w stanie wyprowadzić na ulicę dostateczną liczbę żołnierzy i czołgów, aby w bezpośrednim starciu ulicznym zgnieść każdy opór społeczny, że demonstracje mają charakter symbolicznej walki zastępczej, a prawdziwa rewolta rozgrywa się w formie strajków, blokad eksmisji, zebrań politycznych i konkretnych projektów skutkujących przejściem fabryki czy obroną przestrzeni publicznej. Paradoksalnie, ów naiwny kult przemocy nie służy też powodzeniu większości demonstracji (co widać szczególnie mocno w Polsce), bo gdy braknie szansy na efektowne starcie – jak to było np. w czasie lutowej krakowskiej manifestacji antyNATOwskiej – to całe przedsięwzięcie zamienia się zaraz w milczące drepnięcie tłumu wyraźnie nieznającego innych pełnych ekspresji sposobów wyrażania swoich emocji.

Jeszcze innego rodzaju fetyszem jest globalna polityka światowa. Projektowanie światowego porządku politycznego przez środowiska niemające zazwyczaj pomysłu ani energii do tego, aby stać się grupą wpływu w swojej dzielnicy czy mieście, analizowanie skutków braku dostępu do wody dla ludów afrykańskich w momencie masowych eksmisji osób z sąsiedztwa do baraków, rezygnacja ze wspierania ruchu pracowniczego na rzecz organizowania manifestacji wspierających Czeczenów czy Palestyńczyków – to wszystko przykłady uciekania od trudnej rzeczywistości w świat rzeczy wielkich i – przez to – pozostających poza zasięgiem własnej interwencji czy odpowiedzialności. Prowadzenie dyskursu na ten temat – związane przy okazji również z istnieniem fetyszu masy – tworzy co prawda miłe dla każdego homo politicus złudzenie uczestnictwa w debacie o tym, co arcyważne, ponadczasowe i wszechogarniające, zazwyczaj jednak – z braku instrumentarium – nie wytwarza żadnego oporu społecznego czy realnych działań solidarnościowych. W rzeczywistości, każdy dom, aby mógł stanąć i zostać pokryty dachem, musi mieć fundamenty – podobnie jest także w sferze społecznej czy politycznej. Nie posiadając własnego przyczółka w świecie "tu i teraz" nie będziemy też w stanie efektywnie wpływać na rozwiązywanie kwestii globalnych, zwłaszcza że są one często tylko wielokrotnością problemów lokalnych. Aktywność w tym, co globalne będzie więc pożądana jedynie wówczas, gdy nie stanie się hamulcem, może być więc uzupełnieniem lokalnego, a walka o nowy "inny świat" początek swój powinna znaleźć w problematyce lokalnej.

Poszukiwanie energii na zewnątrz i tworzenie zbędnych fetyszy to objawy choroby ogarniającej całą sferę społeczną i polityczną w naszym kraju, a dla anarchizmu szczególnie zabójczej – ucieczki od partycypacji. Masa, historia, przemoc, globalizm dyskursu, wiara w innych kosztem jej braku u siebie – to wszystko elementy mitologii ruchu, które niszczą jego umiejętności samodzielnego działania, pozwalając anarchistom uchylać się od realizacji głównego postulatu, jaki niesie ze sobą idea, którą przecież sami wybrali jako własną. W rzeczywistości, spełniają one rolę podobną do tej, jaką w prawicowych ideologiach pełni wiara w autorytety przywódców polityki, armii czy biznesu i – tym samym – odbierają chęć samodzielnego tworzenia rzeczywistości społecznej.

Jednym z głównych czynników odróżniających tożsamość polityczną lewicy od myślenia prawicowego jest bowiem od zawsze sposób postrzegania autorytetu, zwłaszcza ubranego w konkretny kostium ludzki. Podczas gdy nasi prawicowi adwersarze głoszą uparcie – wy-

rażnie wbrew faktom, które niesie ze sobą każdy kolejny dzień – że powinniśmy scedować własną obywatelskość na rzecz różnego rodzaju liderów polityki i gospodarki oraz przedstawicieli klasy eksperckiej, to naczelną ideą lewicy pozostaje – mimo zakłamywania jej przez kliki Blairów, Schroederów czy Rossatich – wiara w mądrość zwykłych ludzi. To oni, ze wszystkimi swoimi drobnymi przypadłościami czy niedostatkami wiedzy, zawsze stanowią najlepszy sztab fachowców znających życie, jeśli tylko uzbroić ich w moc kolektywu. Anarchizm spośród całej lewicy jest pod tym względem kierunkiem najbardziej ambitnym, ale też najbardziej wymagającym wobec ludzi, których usiłuje namówić do uznania własnej podmiotowości. Wymienione powyżej fetysze niewątpliwie przeszkadzają w tym ostatnim, będąc oparciem dla tych członków ruchu, którzy zamiast kolektywów wolnych ludzi upierają się tworzyć armie bojowników walczących o lepszy świat za pomocą rozwalania szyb w markowym barze szybkiej obsługi, toczenia w nieskończoność debaty o nowym porządku światowym czy szacowania liczby członków wirtualnych organizacji. Jak wszystkie armie, składają się one z tych, którzy już wybrali swoją rolę szeregowych wykonawców cudzej woli oraz tych, którzy uznali – albo zaraz uznają – swoją rolę dyrygentów działań ogółu. I jak wszystkie – będą przyciągać w miarę swojego rozwoju głównie ludzi słabych, którzy dostrzegą w nich nie możliwość wspólnej kreacji rzeczywistości, ale bycia trybikiem w maszynie, którą z natury kierować ma ktoś inny.

Gdy się lepiej przyjrzyć ruchowi anarchistycznemu – a jeszcze lepiej międzynarodowej wspólnocie alterglobalizmu – okaże się, że ten kapitalistyczny podział odtwarza się mimo wszystkich nieustannie trwających dyskusji o partycypacji i autorytaryzmie. Co więcej, bywa wręcz mocniejszy niż w kapitalistycznych realiach, system bowiem dla realizacji konkretnie zakotwiczonych w życiu projektów wykształcił całe masy swoistych podoficerów wolnorynkowej rzeczywistości, decentralizując tym samym system podejmowania decyzji oraz związanej z tym odpowiedzialności. Tego rodzaju pośredników między Noamem Chomsky’em a osiemnastolatkiem w arafatce wpadającym na spotkanie grupy raz w miesiącu i umiejącym co najwyżej namalować transparent czy podpalić oponę w czasie zadymy, jest na świecie bardzo niewielu, zaś w Polsce zaledwie kilkoro. Ów mityczny ”inny świat” okazuje się więc bardziej zhierarchizowany niż dotychczasowy, co bywa niedostrzegalne głównie z racji jego niskiej codziennej aktywności.

Niemoc nie istnieje

Próbując odejść od tego niepokojącego stanu rzeczy, należy rozważyć, w jaki sposób budować projekty polityczne, aby hamować ucieczkę od partycypacji. Ogólnikowa odpowiedź nie nastęrcza większych trudności – wszelkiego rodzaju mitologie stanowią przeciwieństwo rzeczywistości, a do tej ruch polityczny może dotrzeć tylko zajmując się konkretnymi zagadnieniami społecznymi. Należy przy tym odrzucić przeniesiony z ideologii innych ruchów lewicy przesąd, że kapitalizm można zmienić tylko od razu jako całość (marksizm). System polityczny, jak dowodzi już samo określenie ”system”, nie stanowi jednorodności, tym bardziej sterowanej z jednego punktu dowodzenia (np. Banku Światowego), lecz składa się z wielu elementów, tworzonych często prowizorycznie i nieudolnie, co daje możliwość uderzania oraz zdobywania przestrzeni przez każdą grupę wolnych, sprawnych intelektualnie i zdeterminowanych ludzi. Nie oznacza to bynajmniej, że docelowo nie trzeba

go zmienić całkowicie, a jedynie wystarczy wymienić poszczególne elementy, jak dowodzi współczesna socjaldemokracja. Szansą na zaistnienie każdego ruchu politycznego w sensie uzyskania jakiegokolwiek wpływu na rzeczywistość może być jednak tylko jego dotarcie do problemów społecznych o podłożu politycznym (np. wynikających z dominacji jednych nad drugimi). Zmiana może być ostateczna, ale nigdy nie będzie całościowa w rozumieniu jednego wszechogarniającego procesu – w to ostatnie wierzyć mogą tylko filozofowie, a nie praktycy polityki. Wcześniej dobrze jest zauważyć kilka okoliczności, które pomogą nam potem kształtować politykę w sposób w rzeczywistości alternatywny:

– Absurdalna jest walka polityczna z czymś, jeżeli jednocześnie nie stanowi walki o coś innego. To nowe "coś" nie może być określone tylko ideą czy zestawem "dobroźczyńskich" ogólników, bowiem deformacja każdego pomysłu politycznego następuje zazwyczaj w fazie projektowania konkretów, albo już w samej realizacji. Z tego powodu, ludzie, którzy walczą o nową jakość, muszą bardzo dokładnie wiedzieć, jaka ma ona być w szczegółach, a jeśli nie wiedzą, to walczą o projekt kogoś innego lub projekt niemożliwy do zrealizowania, co wcześniej czy później wyjdzie na jaw w bardzo dotkliwy sposób.

– Podstawowego sposobu umacniania status quo przez zwolenników systemu nie stanowi stosowanie nagich narzędzi władzy (przemocy, zastraszania, przekupstwa, propagandy), ale wpajanie społeczeństwu przekonania o własnej niemocy i braku kompetencji do kształtowania rzeczywistości, a nawet i oceny tych, którzy kształtują ją w jego imieniu. Istotnym czynnikiem osiągniętych w tej dziedzinie sukcesów jest praco- i kosztochłonność kreacji, która odstręcza ludzi od uczestnictwa, jeżeli nie są do niego wystarczająco mocno zmotywowani. W państwach typu "demokratycznego" działanie systemu polega więc głównie na utrwalaniu bierności społecznej, które realizuje się przeważnie poprzez potwierdzanie w każdym z nas alibi, jakie tworzymy dla własnej ucieczki od partycypacji ("nie mam czasu", "i tak nic nie zmienię", "mam rodzinę i pracę"). To właśnie w tym celu system edukacyjny na poziomie szkoły uparcie traktuje edukację obywatelską jako zagadnienie jedynie formalne (każąc wyryć w pamięci liczbę posłów, ale nie wspominając, w jaki sposób można wpłynąć chociażby na radę osiedla), bardzo rzadko pokazuje skuteczność działań zwykłego człowieka (stąd tłumaczenia typu "nie mam czasu, bo muszę w kółko pracować na utrzymanie" mające usprawiedliwiać brak uczestnictwa w ruchu związkowym, który wszak walczy o to, by na utrzymanie pracować trzeba było krócej). Stąd także wypływa uporczywe lansowanie opinii publicznej idoli-ekspertów, którzy ponoć umieją projektować świat lepiej od samych zainteresowanych, czyniąc to w dodatku – nie wiadomo, z jakiej przyczyny – dla naszego, a nie własnego interesu. Stosując argumentację podsowaną czy wzmacnianą przez system każdy z nas stawia się po jego stronie, niezależnie od powodów, jakie jest w stanie przytoczyć, by wytłumaczyć, dlaczego unika bycia podmiotem w życiu politycznym.

– Ludzie organizują się według dwóch rodzajów kryteriów: idei i/lub interesu. Wspólnoty oparte o idee są na obecnym poziomie rozwoju społeczeństw nieliczne (coraz częstsze są za to grupy interesu imitujące grupy ideowe, czego przykładem są partie polityczne) i słabe, gdyż w konformistycznej kulturze neoliberalnej relacja między posiadaniem poglądów, a wcielaniem ich w życie staje się coraz słabsza. W polskich warunkach, deklaracja

ideowa rozmówcy najczęściej oznacza puste roszczenie do świata dotyczące tego, jaki powinien być (jakby kształtowała go jakaś samoistna i w dodatku czuła na żale ludzkie siła), zaś po długim i pełnym nawet żarliwości wykładzie o tym, jak to powinien wyglądać wymarzony system społeczny, następuje zazwyczaj wyraźne zastrzeżenie o braku chęci angażowania się w cokolwiek, w jakimkolwiek wymiarze. Co więcej, niska aktywność społeczna czy polityczna (a więc polegająca na tworzeniu warunków do zmiany stanu rzeczy, przekształcania idei w rzeczywistość, składająca się z konkretnych czynów, sytuacji, zamysłów czy prawidłowości) powoduje, że deklaracje ideowe nie pokrywają się często z rzeczywistymi poglądami (nie z racji skłonności do obłudy czy oszustwa, ale z racji niedostrzegania związków między sferą marzeń i realizacji). Z tego powodu Polska pełna jest liberałów żądających publicznych dotacji do własnych firm, socjalistów pragnących współtworzyć instytucje kapitalistyczne (i to na poziomie tak scentralizowanym, że z natury pozostającym poza kontrolą społeczną), komunistów marzących o rządach silnej ręki wszechmocnej partii (jakby ta partia miała czerpać mądrość z faktu samego istnienia, a nie z powodu zsumowanej wartości intelektualnej swoich członków wydobywanej z nich dzięki procesowi partycypacji) i anarchistów tworzących "antyautorytarne", "antysystemowe", "wolnościowe" kolektywy, na których prowadzenie z biegiem czasu nie mają chwili, z racji sumiennego wypełniania powinności wobec biznesu, państwa i rodziny. Im niższy poziom abstrakcji, tym bardziej problem staje się widoczny i dlatego najlepszym testem dla sprawdzenia jakości poglądów pozostaje ciągle pytanie o racjonalne rozwiązanie w konkretnych sferach życia (mieszkalnictwa, transportu, stosunków pracy), które najczęściej ujawnia albo zupełny deficyt idei ("trzeba zrozumieć i tych, którzy wyrzucają lokatorów, bo mają prawo do zysków, ale z drugiej strony nie powinno być eksmisji") albo poglądy centrowe ("no, powinno być tak, żeby stworzyć jakieś takie prawo, żeby jedni i drudzy byli zadowoleni"). Anarchiści, z natury rzeczy mają skłonność do bratania się z grupami ideowymi, jednak do wyboru pozostają im jedynie socjaliści i komuniści, równie zagubieni w świecie, podzieleni, często skorumpowani przez rynek lub pełni nostalgii za tzw. realnym socjalizmem (a pseudoanarchistom tj. libertarianom – liberałowie, lekceważący idee zupełnego rozpadu państwa, bo w końcu ktoś musi strzec rynku i własności).

Z kolei grupy interesu spotykamy znacznie częściej, jednak warunkiem ich powstania i trwania jest świadomość istnienia konkretnego (zazwyczaj materialnego) wspólnego interesu, co neoliberalizm zwalcza w propagandzie (a często i represjami prawnymi), starając się wzmacniać jedynie grupy gospodarcze (biznesowe) oraz polityczne struktury niszczące tkankę społeczną (partie neoliberalne). Świadomość konieczności wspólnego działania dla jednego celu mają więc zazwyczaj osoby i tak dobrze prosperujące w ramach porządku ustrojowego, dążące raczej do poszerzenia własnej przewagi nad resztą społeczeństwa niż walki o "inny świat". Ludzie ci zazwyczaj jednoczą się w organizacjach bezpośrednio wspierających biznes (izby gospodarcze, związki pracodawców, partie polityczne opierające się na dotacjach pracodawców), można ich jednak spotkać także w strukturach społeczeństwa obywatelskiego przeznaczonych do obrony grup krzywdzonych, gdzie imitują rolę szefów związków zawodowych, partii "robotniczych", organizacji obywatelskich, czerpiąc zyski z zajmowanych posad i zyczliwości swoich rzekomych przeciwników. Aktywnych grup inte-

resu tworzonych oddolnie i kierowanych demokratycznie przez ludzi rzeczywiście krzywdzonych przez system jest w naszym kraju bardzo mało, a i ich istnienie warunkowane jest zazwyczaj aktywnością kilku zapaleńców, odwalających większość roboty za resztę. Grupy interesu potrafią niekiedy bardzo sprawnie realizować zamierzone przez siebie działania i cele, jednak ich członków charakteryzuje zazwyczaj nikłe tylko zainteresowanie społecznym czy politycznym kontekstem problemu, o ile nie wpływa to absolutnie bezpośrednio na uzyskanie doraźnego i konkretnego efektu we własnych sprawach.

Ideowe grupy mają naturalną skłonność do szukania partnerów wśród ideowych grup o podobnym społecznym czy politycznym zabarwieniu. Jeszcze częściej, usiłują wpłynąć na grupy interesu poszkodowane w wyniku dominacji idei przeciwnej, aby przekonać je, że poparcie im udzielone pozwoli na realizację zamierzeń. Jako że grupy te są zazwyczaj zbyt słabe, aby zrealizować wspomniane obietnice i zbyt mało zdeterminowane, aby realnie wspomagać rzekomo reprezentowane przez siebie grupy interesu, wszystko kończy się zazwyczaj na nałożeniu politycznej "czapki" na dany ruch społeczny. Obie strony czerpią jednak z tego nadzieję na zwiększenie własnej mocy – grupa ideowa liczy na wsparcie w wyborach (i jeżeli w ogóle ów kontrakt przynosi komuś jakiś skutek, to właśnie ten), a grupa interesu na możliwość silnej i fachowej reprezentacji politycznej. Mimo, iż nie jest to transakcja przynosząca realne efekty, zazwyczaj bywa długofalowo podtrzymywana, częściowo dzięki bierności, a częściowo – wskutek działań przywódców grupy interesu, którzy są odpowiednio motywowani do udzielania nieustającego poparcia. Próbując nawiązać współpracę z grupą interesu, należy więc brać pod uwagę okoliczność, iż wchodzi się na teren często już zagospodarowany politycznie, kontrolowany przez sojusz polityków i przywódców ruchu społecznego (np. związkowców), którzy nowe podmioty, nowe pomysły traktować będą jako groźbę dla własnych interesów. Rozwiązaniem tego problemu może być jednak wybór wyjątkowo trudnego tematu, na którego nikt wcześniej nie próbował politycznie rozgrywać, bo z punktu widzenia politycznego cwaniactwa było to nieopłacalne.

– Siła ruchów politycznych czy społecznych nie wynika z liczby ich członków, ale z ilości osób realnie zaangażowanych, zdeterminowanych do działania i rzeczywiście aktywnych. Fetysz masy stanowi tak naprawdę część mitologii partii politycznych, które potrzebują wskaźników poparcia (albo rzekomego poparcia – obojętne), aby przekonać obywateli, że ewentualne oddanie nań głosu w wyborach może rzeczywiście kształtować scenę polityczną. Stąd członków w partiach politycznych hoduje się niczym rośliny, nic od nich nie wymagając, z wyjątkiem uczestnictwa w sztabowych konwencjach wyborczych i innych akcjach mających na celu promocję konkretnych idoli politycznych. Na lewicy, fetysz masy – poza opisanym powyżej mechanizmem psychologicznym u ludzi o niskim kapitale społecznym – stanowi, pospołu, efekt zawartego w marksistowskim światopoglądzie sposobu postrzegania świata (jako zbudowanego na kształt wielkiej fabryki) i odchodzącej powoli w niebyt epoki industrialnej, w której rzeczywiście występowały wielkie zbiorowości ludzkie o zbliżonej pozycji społecznej, w tym pracownicze. W nowoczesnych społeczeństwach ery poprzemysłowej, z racji coraz większej ilości czynników różnicujących (choćby pozornie) obywateli, rolę wielkich ruchów pracowniczych przejmują coraz częściej stosunkowo

niewielkie, ale sprawnie zarządzane, zorientowane na cel, struktury czy inicjatywy, które swoją siłę czerpią z tworzonych koalicji, często doraźnych. Wielkie liczebnie organizacje społeczne, które nadal istnieją, cechuje zazwyczaj skostniałość i inercja większości członków, którzy istnieją w nich na zasadach podobnych do partyjnego modelu.

Biorąc pod uwagę wszystkie powyższe prawidłowości, dość łatwo można skonstruować model budowy siatki oporu społecznego, w wersji przydatnej do realizacji zadań ruchu anarchistycznego (przejęcia kontroli, bez przejmowania władzy). Oto stosunkowo niewielka grupa ideowa, zamiast – jak w oficjalnej polityce – zajmować się głównie własnym rozwojem wykorzystując do tego rzekomo reprezentowane przez siebie grupy interesu – może po prostu starać się kreować grupy interesu w tych dziedzinach, gdzie nie ma przeciwdziałania skorumpowanej biurokracji politycznej czy "społecznej". W tym celu musi ona dotrzeć do pokrzywdzonych i zaproponować im model samoorganizacji wolny od wad istniejących w oficjalnej polityce, oparty na partycypacji w projektowaniu i realizacji działań. Zadaniem takiej grupy ideowej nie będzie jednak sterowanie ruchami społecznymi – jak robią to np. socjaldemokraci – ale wspieranie ich wiedzą merytoryczną (prawną, ekonomiczną), ukazywanie kontekstu (powiązania problemów z rozwiązaniami ustrojowymi czy decyzjami polityków), pomoc techniczna (propaganda grupy interesu, dostarczanie sprzętu technicznego, takiego jak np. nagłośnienie) oraz nauka umiejętności politycznych (negocjacji, wyboru celów i narzędzi tworzenia strategii, publicznego prezentowania poglądów). Współpraca nie może być jednak z żadnej strony pozorna – konkretnych ludzi i konkretnych interesów nie można po prostu olać w chwili słabości organizacji czy życiowego wstrząsu, bez konsekwencji dla nich i poczucia własnej klęski. Nie będzie też przynosiła korzyści jedynie ruchom społecznym – działacze ideowej grupy, przekazując umiejętności polityczne, w zamian otrzymają wiedzę o konkretnym problemie społecznym: teoretyczną – którą będą musieli poznać, aby uczyć/rozumieć przedstawiciele grupy interesu oraz praktyczną, jakiej dostarczą im przedstawiciele tej ostatniej w ramach przedstawiania własnych losów. Ta ostatnia, jest w zasadzie nie do zdobycia w inny sposób i będzie niesamowicie wzmacniającym atutem grupy ideowej – salonowa konkurencja "ekspertów" nigdy jej nie posiadała i nie posiada.

Celem będzie wzmocnienie takich grup interesu do poziomu umożliwiającego dalszy samodzielny rozwój i minimum wpływu na sytuację w danej dziedzinie. Potem pozostaje już tylko stworzenie siatki oporu społecznego – powiązanie grup interesu z sobą: stworzenie systemu komunikacji i współdziałania oraz poczucia solidarności społecznej (np. między lokatorami a pracownikami czasowymi). Owa siatka, jeżeli kiedyś zaistnieje, będzie niezwykle silnym narzędziem wpływu, w sprzyjających okolicznościach zdolnym do zmian ustrojowych. Co najważniejsze – stworzona pracą organiczną – a nie zrywem czy mitologią przyciągania przez to, co jest tak wielkie, że nie istnieje – będzie znacznie bardziej odporna na zamachy strony przeciwnej czy błędy po własnej stronie.

Nie ma sprzeczności między działaniem doraźnym a rewolucyjnym. Działając doraźnie, możemy przesuwać fragmenty systemu w pożądanym kierunku (system nie już taki sam, tak samo, jak nie jest taki sam pokój, w którym pomalujemy tylko jedną ścianę) i stworzyć efektywne narzędzie dla zmian całościowych. W ten sposób jesteśmy w stanie budować za-

plecze dla ewentualnej rewolucji, nie tylko na czas jej trwania, ale także na moment, kiedy nastroje uniesienia opadną. Możemy tworzyć zaplecze intelektualne, bazujące na wiedzy o konkretnych dziedzinach życia, istotne, bo zarządzać będzie kiedyś trzeba nie anarchizmem czy innym ruchem politycznym, ale tym, co zawsze – mieszkalnictwem, stosunkami pracy, transportem, służbą zdrowia itp. (tylko że w oparciu o inne priorytety i narzędzia). W ten sposób zwiększamy też szansę na utrzymanie się nowych rozwiązań, bo tego, co wypracowane broni się zawsze silniej od tego, co powstało w wyniku chwilowego zrywu. Kto wie, może wówczas alternatywą dla kapitalizmu po rewolucji będzie coś odmiennego od leninowskich paroksyzmów bezradności: komunizmu wojennego i NEP-u, a społeczeństwo nie straci zainteresowania polityką chwilę po tym, jak otrzymało szansę na lepsze życie.

Budować siatkę oporu można już dzisiaj. Wystarczy tylko chcieć.

Anarcho-Biblioteka
Dobry pieróg to wywrotowy pieróg



Andrzej Smosarski
Inna polityka

pl.anarchistlibraries.net